

Fred. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

6

Lopez stłumił mimowolny okrzyk, udał jednak, jakoby nie dosłyszał ostatnich słów.

— Czy nie byłby pan łaskaw poświęcić nieco uwagi słowom moim? — zapytał tonem obrażonym wrażliwy azyata.

— Ach, przepraszam, kochany panie! Kolor czerwony wychodził teraz dziesięć razy z rzędu, rzadki wypadek. Zainterесowało mnie to bardzo. Co pan teraz mówił? Czy książkę sprzedał może niebieski klejnot?

To zapytanie tak nagle było arcydziełem dyplomacji. Hasid wpadł w pułapkę.

— Książkę nie jest tak głupim! — odparł — Gdyby to zrobił, a wiadomość o tem stała się jawną, nie byłby pewnym swego tronu ani tygodnia. Wiem jednak, że w tej chwili klejnotu w swoim posiadaniu nie ma i tę okoliczność chcę wyzyskać.

Lopez słuchał z ogromną uwagą i udawał bezinteresownego przyjaciela, dając Hamidowi rozmaite rady, zastanawiał się jednak w głębi duszy, w jaki sposób wykorzystać tę niespodzianą wiadomość.

Tymczasem przy rulecie jedno miejsce się opróżniło, Lopez zajął je więc natychmiast. Z początku grał umiarkowanie ze zmiennem szczęściem, wnet jednak opanowało go zwykle, gorączkowe podniecenie, grał coraz śmielej, nierozważnie, aż do chwili, kiedy przegrał wszystko, do ostatniego grosza.

Z westchnieniem wstał od stołu. Właściciel klubu podeszedł do niego z wyrazami współczucia.

— Przecież pan gra tak dobrze, naprawdę żal mi pana.

Lopez zapalił sobie z całą obojętnością papierosa.

— Przy rulecie i najlepszy rachunek zawodzi! — odparł — Wiemy wszyscy o tem, że tylko bank wygrywa, a przecież każdy myśli w zaślepieniu, że jemu właśnie powiedzie się w grze. Pan jeden, panie Bishop, ciągnie zyski, wzbogaca się pan naszym kosztem.

— Czy mogę panu może służyć małym czukiem? — zapytał bankier słodkim głosem.

— Przecież i on pójdzie tą samą drogą! — roześmiał się Lopez — Zresztą nie mogę dłużej pozostać. Obiecałem pewnej kobiecie, że będę z nią na kolacji w Belgrave. Niestety, tam nie mam kredytu, a że lekkomyślnie przegrałem wszystko, więc banknot pięciofuntowy...

Bankier natychmiast podał mu podwójną kwotę, którą Lopez niedbale wsunął do kieszeni kamizelki.

Hamid, który również był zgrany, wypił pospiesznie kilka szklanek szampana i także się zabierał do pójścia.

— Czy wyjdzie pan ze mną? — zapytał Lopez — Po drodze możemy się wzajem pocieszać, a jeśli pan niema żadnych planów, to niech mnie pan odprowadzi do restauracji Belgrave, umówiłem się tam z kobietą.

Hamid zgodził się chętnie. Kiedy przechodzili przez plac Grosvenor, drogę zatamował im szereg pojazdów, zatrzymujących się przed jednym z pałaców. Odbывał się tu wielki bal.

Obaj przyjaciele przystanęli, aby się przypatrzeć wysiadającym. Uwagę ich zwróciła szczególnie kobieta, jadąca sama w eleganckim powozie. Była klasycznie piękna, we włosach miała prześliczne dyamenty.

— Na Allacha! cudna kobieta! — wykrzyknął z zachwytem Hamid — Kto ona? Wygląda na Angielkę, a jednak ma w typie coś wschodniego.

— Tak, boska kobieta! — przyznał Lopez — W tutejszych kołach towarzyskich wzbudzi olbrzymie zainteresowanie. Powiedzieć panu, kto ona jest? To żona barona finansów Bernsteina. Wyszła za tego staruszka jedynie dla pieniędzy. W rzeczywistości...

Chciał powiedzieć, że panią Bernstein znalazł bardzo dobrze przed laty, rozmyślił się jednak i zdania nie dokńczył.

— Nazwisko to już gdzieś słyszałem! — odparł żywo Hamid — Książkę w ostatnich czasach

miał niejednokrotnie interesa z lichwiarzami. Dziwiłbym się...

Urwał. Lopez odgadł jednak jego myśl. U drzwi restauracji rozstali się, a Lopez, dopalając papierosa, przypatrywał się jeszcze przez chwilę przechodzącym; nagle spostrzegł ową kobietę, której piękność zwróciła uwagę Hamida. Właśnie zatrzymała swój powóz, a wysiadłszy zeń, odesłała go i z miną pewną siebie zwróciła się ku wejściu do restauracji.

Spostrzegłszy Lopezą zagadnęła go poufale: — O, Paweł! Lopez! Pana spotyka się zawsze tam, gdzie go się najmniej spodziewać można. Gdyśmy się widzieli po raz ostatni, inne były okoliczności.

— A tak, Izol — przyznał Lopez.

— Pani Bernstein! — poprawiła go — Zachowajmy lepiej formy towarzyskie. Czy przypomina pan sobie nasze ostatnie spotkanie?

Lopez skłonił się. Zapomnieć o tej kobiecie rozpalającej zmysły, było niepodobieństwem. A teraz, w blasku dyamentów, była jeszcze po-
nętniejsza.

— Wówczas nie byłaś jeszcze panią Bernstein! — rzekł Lopez z lekkim akcentem.

Bolesny uśmiech okolił jej usta.

— Nie, ambicja moja wówczas jeszcze tak daleko nie sięgała. Nic mi nie zależało na gotowym gnieździe, chciałam sama budować me szczęście, sama zdobyć chciałam majątek. Jednak wnet się przekonałam, jak trudno, jak nie-
możliwym to jest do osiągnięcia dla kobiety.

Zamyśliła się na chwilę, poczem niedbale ciągnęła dalej:

— Wszyscy jesteśmy marynetkami w ręku przeznaczenia, nawet najsilniejsi z pośród nas. Jestem filozofką, albo też wmawiam w siebie, że nią jestem, co mniej więcej jest to samo, a że sprzykrzyła mi się obserwacja własnej piękności, chcę zrobić z tego inny użytek. Zamierzam bywać w towarzystwie.

— Którego bramy otworem dla pani stanął — dodał Lopez.

— To się rozumie. Jutro rozpoczynam mój pochód tryumfalny, ja, żona lichwiarza Arona Bernstein! Jak oni będą na mnie patrzeć przez ramię!

— A jak pani zazdrościć będą! — dodał Lopez.

Kobieta roześmiała się drwiąco.

— To właśnie jest pieprzykiem w tej historii. Dziś przyszedł tutaj, bo się nudziłam. Może zjemy razem kolację, Lopez, przypomnimy sobie dawne czasy?

Hiszpan żałował, że tej milej propozycji przyjąć nie może, bowiem w restauracji czeka na niego młoda dziewczyna, życiowo zupełnie jeszcze niedoświadczona.

Pani Bernsteinowa uśmiechnęła się filuternie.

— No dobrze, więc sama wejdę i będę robiła obserwacje. Do widzenia!

Weszła do olbrzymiej sali, gdzie przygrywała muzyka, oświetlonej rzeszycie sefkami lamp elektrycznych. Przy stolikach siedziało mnóstwo pań strojnych i panów przy kolacji. Cara siedziała już przy nakrytym stole, kiedy się zjawił Lopez.

— Myślałam już, że wcale nie przyjdiesz — dąsała się — bałam się, że przegrałeś znów wszystko.

— I tak też jest! — odparł zimno Lopez, rozkładając serwetę — Musiałem nawet pożyczyć dziesięć funtów, aby mieć za co pójść na kolację. To nic jednak nie szkodzi, bowiem dowiedziałem się za to czegoś, co mi się opłaci. Jedź więc z apetytem.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytała Cara z dziecięcą ciekawością — Opowiadaj!

— Ani myślę! — odparł Lopez, śmiejąc się — Kontentuj się korzystaniem z owoców mej pracy, więcej nie żądam. Jedno ci tylko powiem: odkryłem kopalnię złota, tak, że tego lata będziesz mogła bawić się w nadmorskiej jakiejś miejscowości, ile zechcesz.

Cara uśmiechnęła się z zadowoleniem. W gruncie rzeczy nic ją to nie obchodziło, skąd Lopez bierze pieniądze, by spełniać jej życzenia.

Po spożyciu kolacji poczęła obserwować towarzystwo na sali.

— Kto to jest ta pani z tymi drogimi dyamentami we włosach? — zapytała, spoglądając na panią Bernstein, siedzącą samotnie i na pozór obojętnie przy bocznym stoliku.

— Jest to żona bogatego Arona Bernsteina.

— Jakież ma cudne brylanty!

— Myślę sobie Bernstein ma przecież w prze-

chowaniu dwie trzecie kosztowności wielkich dam Londynu. Jego piękna żona wie o tem i jeśli zechce przystroić się w ten lub ów klejnot, czemużby tego uczynić nie miała?

Cara zamyśliła się.

— To wcale nieźle wyjść za mąż za człowieka bogatego — odezwiała się — jeśli można stroić się tak wspaniale. Skąd pani Bernstein pochodzi?

Lopez nie umiał na to pytanie odpowiedzieć dokładnie.

— Nikt nic pewnego nie wie o niej; a że jest piękna, bogata i mądra, więc zapewne odegra rolę w życiu towarzyskim.

— Nie chciałabym jej mieć wrogiem — zauważyła Cara, która mimo młodego wieku posiadała bystry umysł. — A kto jest ta kobieta, o którą tam? — zapytała, wskazując w innym kierunku. — Wygląda całkiem niepozornie.

— To jest lady Beachmore. Mąż jej pochodzi z bardzo dobrej rodziny i był oficerem. Jak ten przystojny i w dodatku bogaty człowiek mógł ożenić się ze śpiawaczką tinglową i do tego brzydką, tego naprawdę zrozumieć nie mogę.

— Ona się ubiera okropnie! — krytykowała Cara. — Dlaczego nie nosi klejnotów?

Lopez roześmiał się.

— To można łatwo zrozumieć. Gra ona namiętnie i prawdopodobnie nawet dlatego przyjmują ją w towarzystwie. Jestem przekonany, że kosztowności Beachmoreów zastawiła u Arona Bernsteina, oczywiście bez wiedzy męża.

Cara spojrzała z podwójnym zainteresowaniem na lorda Beachmore'a, który właśnie zamieniał parę słów ze swą żoną i zaraz się oddalił.

Tymczasem lady przypadkiem spostrzegła panią Bernstein. Na twarz jej wystąpił ciemny rumieniec. Zerwała się i gniewnie podeszła ku pani Bernstein, która odpowiedziała na jej wybuch tylko lekceważącym ruchem ręki. Lopez śmiał się z ukontentowaniem.

Szczegółne spotkanie! — szeptał. — Iza istotnie ustroiła się w dyamenty lady Beachmore! Hm! Tobie się może dało wyzyskać. Jutro odwieź Frobishera.

— Co ty tam mruczysz pod nosem? — zapytała Cara, ziewając z lekka. — Odprowadź mnie już do domu; zmęczyła mnie już ta sala i to mnóstwo światła. Czasem wolalabym naprawdę być na wsi, aniżeli w mieście.

IV.

Sir Clemens stał przed zwierciadłem i wiązał krawat. Był w dobrym usposobieniu, a na widok wchodzącego Lopezą twarz mu się jeszcze więcej rozjaśniła.

— Właśnie się ubieram, aby towarzyszyć moim paniom na festynie do księżnej Alby — oświadczył hiszpanowi, który rozparł się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa.

— Nikt nie posadziłby pana o taką osobistą ofiarę, gdyby to panu nie miało przynieść jakiejś korzyści — zauważył ironicznie Lopez.

— Mówi pan jak książka, mój panie — odparł żartobliwie Frobisher, siadając naprzeciw gościa, przyczem począł się bawić książeczką czekową. — Przecież te książeczki są bardzo praktyczne — rzekł mimochodem. — A jak ładnie wykonane! Naprawdę, mój drogi, taki czek, wypełniony i podpisany, to miły widok.

— Do czego pan zmierza, łajdaku jeden! — zapytał Hiszpan z zimną krwią.

— Mój przyjacielu kochany, pan stajesz się bezwzględny! — odparł Frobisher. — Ja jestem baronem, a pan, pan jesteś tem, czem właśnie jesteś.

— Arcades ambo! — przerwał Lopez niecierpliwie. — Posyłał pan po mnie, nie mogę na głupstwa czasu tracić. Więc cóż jest nowego?

— Hm, łamię sobie głowę nad czemś — odparł Frobisher, bawiąc się wciąż książeczką czekową. — Gdybym nie był zajęty wielkimi rzeczami, prędzej załatwiłbym się z małemi. Czy pan już był zdumiony czemś, czego pan nie rozumiał?

— O tak, tu i ówdzie. Naprzykład kiedy mi ludzie prawdę mówią. Był raz człowiek, który dużo mógł zyskać, gdyby mnie był okłamał, nie uczynił tego jednak. To było dla mnie za mądre.

(Ciąg dalszy nastąpi).